Zawsze byłam ladacznicą,

Barbara Krafftówna. W maju będzie świętować 85. urodziny. Na gali ostatniego Przeglądu Piosenki Aktorskiej każde jej wejście na scenę wywoływało rzęsiste oklaski. Pamiętna Felicja z „Jak być kochaną" Wojciecha J. Hasa. Przebojowa Honorata z „Czterech pancernych i psa". O aktorce, o której krytycy teatralni pisali, że nienaturalnie naturalna, pisze **Katarzyna Kaczorowska**

Dzień pierwszy. Poranek wita wrocławian śniegiem. 19 marca, a zimno jak w styczniu. Na parkingu przy ul. Wystawowej staje auto, z którego wysiada drobna postać. Spod fantazyjnego zielonego beretu widać rude włosy i przenikliwie patrzące jasnoniebieskie oczy. Barbara Krafftówna staje przed tablicą upamiętniającą Wojciecha J. Hasa, wisząca na budynku dawnej Wytwórni Filmów Fabularnych, dzisiaj Centrum Technologii Audiowizualnych. Po drodze zdążyła jeszcze podać dziennikarce i radnej Wandzie Ziembickiej-Has okulary, bo zawsze je ściąga do zdjęć. I płócienny worek ze wszystkimi materiałami niezbędnymi do popołudniowej próby gali 34. Przeglądu Piosenki Aktorskiej, w której bohaterami będą tak świetnie znane nam i jej piosenki z Kabaretu Starszych Panów.

– Wojtuniu! To dla ciebie! – mówi po chwili, podnosząc do góry znicz, jakby wznosiła toast za zdrowie (a może raczej za życie, i to wieczne?).

Pół wieku temu we wrocławskiej WFF zagrała jedną z najważniejszych swoich ról i jedną z najważniejszych ról kobiecych w polskim filmie – została Felicją, bohaterką „Jak być kochaną", wyreżyserowanego właśnie przez Hasa.

Kolejny znicz zapłonął przed tablicą Zbyszka Cybulskiego, który jako Wiktor Rawicz nie potrafił odpowiedzieć na dręczące Felicję pytanie. – Zbyniu! Kto by pomyślał, że będę tu tak stała przed Tobą. Dzisiaj nie stawiam ci setki. Stawiam ci świeczkę.

Jeszcze dwa kroki i fioletowy znicz przypomina o Stanisławie Lenartowiczu.

– Stojąc w tej chwili tu, w tym miejscu, trochę czuję się, jakby to był sen. Gdyby mi ktoś powiedział, że będę stała tutaj pod tymi tablicami i stawiała świeczki pamięci, przyjęłabym to do wiadomości może jak takie pijackie majaczenie, bełkotanie – mówi jedna z najsłynniejszych polskich aktorek, Iwona, księżniczka Burgunda, hrabina Kotłubaj i Honorata w jednym.

Zimno daje się wszystkim we znaki. Nic dziwnego, że kiedy Zbigniew Rybczyński, zdobywca Oscara za „Tango" w 1982 roku, dzisiaj szef CeTy, wykonuje ręką zapraszający gest, wszyscy szybko wchodzą do budynku dawnej Wytwórni. W holu po jednej stronie wejścia wiszą zdjęcia między innymi z „Rękopisu znalezionego w Saragossie", w którym aktorka zagrała (dwa lata po „Jak być kochaną") Camillę de Tormez, macochę Paszeki. Na tableau widać też Gustawa Holoubka, Beatę Tyszkiewicz i Franciszka Pieczkę, czyli Paszekę właśnie. Nie mogę się oprzeć i pytam:

– Czy wtedy, w „Jak być kochaną", kiedy stoi pani przy barze w kawiarni i pije wódkę, w kieliszku była woda? Bo strasznie dużo pijecie w tym filmie, dzisiaj chyba byłby to obraz o alkoholikach.

– No pewnie, że woda. Jakby to była wódka, może i byłoby ciekawie, ale nie byłoby grania – błyskawicznie odpowiada aktorka.

Dokładnie po drugiej stronie szklanych drzwi na ścianie wisi ogromne lustro.

– Pamięta pani? To lustro z „Rękopisu...", przez które przechodził Zbyszek Cybulski – Wanda Ziembicka rozpromienia się, pokazując tabliczkę obok, na dowód, że jest to autentyczny rekwizyt filmowy.

Zbigniew Rybczyński zapala maleńkie cygaro. Gdy prowadzi do odnowionej części Wytwórni, Barbara Krafftówna nieznacznie cofa się. Dym!

– Ależ to czysty tytoń – broni się Rybczyński.

– Nie szkodzi – grzecznie, acz stanowczo mówi aktorka. Odkąd rzuciła palenie, unika dymu z papierosów i cygar, nawet tych najlepszych, jak ognia.

Kiedy kilka godzin później będziemy jechać na próbę gali, przyzna, że kiedyś paliła jak smok.

– Ale byłam ladacznicą z zasadami.

– No, na ladacznicę to pani jednak nie wygląda.

– Przecież powiedziałam, że z zasadami. Nigdy nie paliłam przed południem i nigdy na czczo. Ach, zresztą, zanim zapadła żelazna kurtyna, do Gdyni przypływały promy ze Szwecji pełne wszelakiego dobra. Czego tam nie było! No i były też papierosy, amerykańskie. Kto wtedy w ogóle wiedział, że będą filtry?! Palce były żółte, uwalane tytoniem. Ale te amerykańskie papierosy były takie długie, jak nasze dwa – aktorka pokazuje, że mogły mieć jakieś 10 centymetrów. – I paliło się te papierosy w fifkach. Cudowne były.

– Papierosy czy fifki?

– Jedno i drugie, proszę pani. Papierosy były lekko opiumowane, a jak pachniały! A fifki to były prawdziwe dzieła sztuki, z kości słoniowej, ze srebra, misternie zdobione.

– I trzymały je dłonie z paznokciami pomalowanymi na czerwono. Miała pani wtedy takie paznokcie?

– Ja nie, ale pamiętam portowe dziewczyny. One miały. A potem przyszedł stalinizm. Zapadła żelazna kurtyna. Przestały przychodzić promy ze Szwecji. I nie było już tych cudownych papierosów. Dziewczyny jednak zostały. Wymyślono, że muszą się uspołecznić, włączyć w zdrową tkankę narodu. Zrobiono taką wielką szwalnię, całą przeszkloną, tam chyba wcześniej była jakaś kawiarnia. Posadzono je przy maszynach, ale co one przy nich wyprawiały. Na chodniku, naprzeciwko szyby wystawowej, przystawali panowie, ja też tam biegałam oglądać te panie, bo naprawdę robiły prawdziwe widowisko.

W Gdyni Barbara Krafftówna pracowała od listopada 1946 do 1949 roku. Z Wybrzeża przyjechała do Wrocławia, ale to najpierw w Trójmieście, a dopiero potem w Warszawie, w 2006 roku zorganizowano jej jubileusz 60-lecia pracy aktorskiej – zagrała w spektaklu Remigiusza Grzeli „Błękitny diabeł" o ostatnich latach Marleny Dietrich.

W Wytwórni przekraczamy kolejne drzwi. Na ścianie wzdłuż korytarza prowadzącego do nowoczesnego studia, wiszą stare grafiki, które Zbigniew Rybczyński kolekcjonuje od lat. Z Wrocławiem, ale też i królową Marią Ludwiką czy jej wychowanicą Marią Kazimierą. Tuż przed wejściem do studia jest bar, w którym można przysiąść, wypić kawę czy herbatę. Ibiała tablica, na której goście CeTy będą zostawiać na pamiątkę autografy. Barbara Krafftówna jest pierwszą, która się tu podpisze. Niebieskim markerem, bo rudym pasuje niebieski.

Kiedy Zbigniew Rybczyński najpierw tłumaczy, a potem pokazuje zasady wymyślonej przez niego technologii, aktorka cały czas z niedowierzaniem kiwa głową.

Nigdy nie paliłam przed południem i nigdy na czczo

– A aktor? Gdzie tu jest aktor? – dopytuje zdobywcę Oscara.

W końcu siada na krześle przed monitorem komputera i ogląda próbkę możliwości, jakie daje stosowany w Cecie program. Patrzymy na zmultiplikowane postaci maszerujące, siadające, kładące się i wstające.

– Wie pan, ale oni wyglądają jak takie robaczki – Barbara Krafftówna cały czas dopytuje się o miejsce aktora w nowej technice.

Zbigniew Rybczyński cierpliwie tłumaczy, że to, co właśnie ogląda, to jedyny taki system na świecie, nie ma go nawet w Hollywood, a aktor w tej technologii wciąż jest w centrum – tak jak do tej pory.

– Na bieżąco może oglądać, to co zostało nagrane. Już nie musi czekać na przeglądy, wchodzi, patrzy na monitor i proszę sobie wyobrazić, to naprawdę bardzo mobilizuje do intensywniejszej pracy.

– Aktorzy wywalczyli sobie prawo udziału w przeglądach nagranego materiału, w których wcześniej nie mogli brać udziału. Ale pamiętam, że Zbyszek nigdy tam nie szedł. Czekał na korytarzu, okropnie się denerwował, chodził w tę i we wtę i jak tylko ktoś wychodził, od razu go dopadał: „I co? Jak jest? Co mówią? W porządku?" – opowiada później Barbara Krafftówna i nie kryje, że ten lęk Cybulskiego był właściwie irracjonalny. Bo to było prawdziwe zwierzę aktorskie. Po prostu stawał przed kamerą, odwracał głowę i wiadomo było, że tak właśnie miało być. A inni zastanawialiby się, analizowali, co zrobić, a czego nie.

Na fotosach z uroczystego pokazu „Jak być kochaną" w warszawskim kinie Moskwa 11 stycznia 1963 roku jest szczęśliwa Barbara Krafftówna, w karakułowym futerku i z pelisą z norek, uśmiechnięty Wojciech J. Has, Artur Młodnicki, Mieczysław Pawlikowski, Adam Hanuszkiewicz. Rozbraja długi rulon z papieru, trzymany przez aktorkę, z którego wystają charakterystyczne łodyżki goździków. Kwiaty dostała pewnie przy wejściu do kina. Na tych zdjęciach Cybulskiego nie widać. Za to na fotosach z samego filmu, jak zwykle, rzucają się w oczy ciemne okulary.

„Jak być kochaną" rozbiło bank na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w San Francisco w 1962 roku. Nikogo z Polaków tam nie puszczono. Statuetki Golden Gate Award otrzymali Barbara Krafftówna za główną rolę kobiecą, Wojciech J. Has za reżyserię i Kazimierz Brandys za scenariusz. W jednym z wywiadów aktorka wspominała: – Gdy poszłam do wytwórni zabrać swoją nagrodę z gabloty, usłyszałam: „Pani Barbaro, robimy oficjalną uroczystość, z pokazem, wtedy minister kultury ją pani wręczy". „To ją na uroczystość przyniosę, ale teraz wolę mieć u siebie". Bałam się, że już jej nie zobaczę!

Tym bardziej musiała docenić to, że ostatnim punktem spotkania ze Zbigniewem Rybczyńskim była wizyta w jego gabinecie. Miejscu, gdzie wstęp mają nieliczni i gdzie stoi figurka pozłacanego Oscara.

– Oczywiście, że go dotknęłam – uśmiecha się filuternie Barbara Krafftówna.

Później, przy obiedzie, który koniecznie musi zjeść przed próbą, przeprasza, że tak wolno je. Kiedy będzie pozować do pamiątkowego zdjęcia w restauracji „Przystanek zoo", najpierw grzecznie przeprosi, sięgnie po maleńką czarną torebkę, wyciągnie puderniczkę i szminkę. – Przecież muszę pomalować usta!

I rozpromienia się, kiedy Wanda Ziembicka daje jej specjalnie na tę okazję oprawione zdjęcie aktorki z Wojciechem J. Hasem, zrobione w czasie jego wizyty w Stanach Zjednoczonych, gdzie mieszkała od 1983 do 1998 roku, i gdzie do tej pory spędza każdą zimę.

Ktoś z obecnych przy stole opowiada dowcip: Święta Trójca przychodzi do biura podróży. Pan Bóg mówi, że chciałby jeszcze raz zobaczyć Górę Synaj. Jezus, że mimo bolesnych wspomnień, chciałby jeszcze raz odwiedzić Jerozolimę... A Duch Święty, po chwili wahania, wypala: – A ja bym chciał w końcu pojechać do Watykanu, bo nigdy tam nie byłem.

Wszyscy wybuchają śmiechem, choć dowcip niepoprawny polityczne. Pani Barbara rzuca: – Świetny!

A kiedy jeszcze okazuje się, że na deser mogą być lody, to nagle jakby przy stole zjawiła się mała dziewczynka.

– To ja bardzo proszę, ale tylko czekoladowe. Trzy gałki. I gołe! Samiuteńkie, bez niczego.

Dzień drugi

W hotelu Wrocław panie z recepcji już wiedzą, że mają obudzić aktorkę piętnaście minut po 13. Jest umówiona o 13.30. Kiedy staje za kanapą, w jej głosie słychać przeprosiny: – Spóźniłam się?

Obie jesteśmy przed czasem. Ja, bo nie lubię się spóźniać na spotkania. Ona, bo jej pokolenie nie spóźnia się z zasady. I to nie dlatego, że tego wymaga kultura osobista – jak później tłumaczy – ale dlatego, że w czasie okupacji nawet kilkuminutowe spóźnienie mogło oznaczać tragedię.

Idziemy do sali restauracyjnej. Pani Barbara prowadzi do stolika, przy którym jest widok mostu Grunwaldzkiego. I nie jest to przypadek. Kiedy godzinę później zapytam o ten most, ucieszy się: – Myślałam, że pani zapomniała. Do Wrocławia przyjechałam po raz pierwszy w 1946 roku, na wakacje. Mieszkała tu siostra mojej koleżanki. Na ziemie zachodnie trafiła z obozu w Niemczech. We Wrocławiu odnalazła się jej matka. Wiedziałyśmy, że mieszka w dzielnicy za Odrą, tak się wtedy mówiło. Miasto było całe w gruzach. Doszłyśmy jakoś do mostu Grunwaldzkiego, a tu

To we wrocławskiej Wytwórni

sito. Normalne rzeszoto. Stałyśmy, kompletnie nie wiedząc, co robić, bo nie było jak przedostać się na drugi brzeg – opowiada aktorka.

Zapytały w końcu jakiegoś chłopa na wozie, który w krótkich, żołnierskich słowach powiedział im, że przejść się da, tyle tylko, że najpierw muszą sprawdzić każdy kawałek kamienia i deski, na których postawią nogę, bo mogą razem z nimi spaść do Odry, tak wszystko jest na słowo honoru.

– Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że mam lęk wysokości. Szłyśmy przez ten most wieczność. Godzinę. Dwie. Do dzisiaj nie mam pojęcia. I do dzisiaj, jak patrzę nawet na obrazek z tym mostem, to tamta chwila staje mi przed oczami.

Barbara Krafftówna zamawia lody. Czekoladowe. I coca-colę. Kiedy kelnerka przyniesie pucharek ugarnirowany owocami i bitą śmietaną, zacznie przepraszać, ale ona tylko gołe, bez żadnych dodatków, a że jest tu już kilka dni i na kolację dzień wcześniej też takie lody jadła, to myślała, że kucharz będzie wiedział... Pucharek znika. Po chwili zjawia się nowy, już z gołymi lodami.

Właściwie to było oczywiste, że zostanie aktorką. Starsza siostra przed wojną skończyła Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej, a w odebraniu dyplomu przeszkodził 1 września 1939 roku. Wstąpiła więc do podziemnego Studia Dramatycznego Iwo Galla, zabierając ze sobą Basię ze względu na temperament młodszej siostry, która jeszcze nie tak dawno temu odstawiała dzikie tańce na parapecie weneckiego okna w rodzin-

ale z zasadami

Filmów Faburalnych Barbara Krafftówna pracowała na planie „Jak być kochaną" i „Rękopisu znalezionego w Saragossie" Wojciecha J. Hasa

FOTOPRAWDA / FELIETON

Opadałam na otomanę z parasolką, udając, że to spadochron

nym domu, a raz nawet skakała z szafy na otomanę.

– Opadałam z parasolką, udając, że to spadochron – uśmiecha się aktorka, podnosząc łyżeczkę z lodami do ust.

Po zakończeniu wojny sławny Iwo Gall otworzył Studium Dramatyczne w Krakowie przy ul. Warszawskiej 5 – po dzień dzisiejszy to druga scena krakowskiej szkoły teatralnej. Adres jest tym bardziej słynny, że po wyjeździe Galla do Gdyni działał tam Teatr Rapsodyczny prowadzony Mięczysława Kotlarczyka. W Teatrze zaś pojawiał się Karol Wojtyła...

Młodsza Krafftówna fantazji i energii miała tyle, że mogłaby obdzielać nią innych. Ale nie kryje, że wychowanie odebrała staranne. – Słowo „tresura" właściwie jest niedobre, bo nie oddaje tego procesu, w którym wszystko miało znaczenie. Jak siedzisz? Jak chodzisz? Nie pięta – palce, ale palce – pięta. I plecy proste, nie wleczesz się noga za nogą, ale kroki stawiasz energicznie. Stopy do środka, nie na zewnątrz. I ładnie mówisz, pełnymi zdaniami. A nie, jak dzisiaj słyszę, „Eeee", „Noooo", „Yhm" albo „mamooooo, daj japkoooo" – aktorka jęczy, przeciąga, celowo zniekształca każdy dźwięk, by jak najdobitniej pokazać nędzę współczesnego języka. – Więc kiedy czasem spotykam jakiś eksponat, który ładnie chodzi, ładnie siada, ładnie mówi, to myślę sobie „nie zginął świat całkiem". I przyglądam się, i słucham.

Jednym z takich eksponatów jest młoda warszawianka, którą mama – w prezencie za zdaną maturę – przyprowadziła do teatru na spektakl pani Barbary. Dzisiaj dziewczyna kończy drugi rok prawa. O komputerach wie wszystko, ale z przyjaciółmi spotyka się, by słuchać piosenek Kabaretu Starszych Panów.

– Założyli taki fan klub – przyznaje Barbara Krafftówna, która listów, próśb o autografy, dostaje do teatru setki. I choć przeciętny widz kocha ją za Honoratę, która podbiła serce Gustlika w „Czterech pancernych i psie", to temperamentna Honorka (aktorka specjalnie do tej roli uczyła się śląskiej gwary) jest zaledwie promilem jej dorobku.

W 1957 roku, na fali popaździernikowej odwilży, zagrała w premierowym spektaklu „Iwony, księżniczki Burgunda" według Witolda Gombrowicza. Gall, który prorokował, że pisane są jej role komediowe i dużo czasu minie, zanim dojrzeje do innych, musiał być dumny, czytając recenzje. Krafftównę okrzyknięto objawieniem, a krytycy podkreślali, że oto na oczach teatromanów rodzi się nowoczesne aktorstwo.

– Czy się baliśmy? Robiliśmy coś absolutnie po raz pierwszy. Właściwie to my tworzyliśmy wzorzec, do którego potem mieli się odnosić inni. Oczywiście, że zastanawialiśmy się, czy widzowie nas zrozumieją. Ba, zakładaliśmy, że na pewno przyjdą na spektakl nieprzygotowani. Konieczna więc była analiza, jakiego języka, jakich środków użyć, by być zrozumianym – wspomina Barbara Krafftówna, która w spektaklu wyreżyserowanym przez Halinę Mikołajską wykorzystała w roli głównie mimikę.

Opowiadała potem, że ta rola i to przedstawienie były dla niej jak skok w kosmos. Wyjście z klasycznego teatru, z formy ustalonej przez pokolenia. Ta literatura zmieniła sposób myślenia o teatrze, a grając Gombrowicza, czuli się jak w innym świecie.

– To niezwykłe uczucie. Na ziemi i przy ziemi trzyma nas konkret. Ale on jest piekielnie nudny. Gdyby nie takie skoki, gdyby nie fantazja, to byśmy tylko pełzali przy ziemi, nie mogąc się w ogóle od niej oderwać – tłumaczy aktorka, którą uznano na najlepszą odtwórczynię ról gombrowiczowsko-witkacowskich. Bo jak napisał jeden z krytyków, jest naturalnie nienaturalna na scenie. – Ale przyznam, że kiedy dzisiaj rozglądam się wokół siebie, to myślę, że wciąż wszyscy tkwimy w Gombrowiczu, Witkacym i ich absurdach. Niezmiennie, nieustająco. Z pozoru coś się zmienia, ale absurd wciąż goni absurd – Barbara Krafftówna wypija łyk coca-coli i sprawdza, ile ma czasu do specjalnego autobusu, którym razem z innymi aktorkami pojedzie na popołudniową próbę.

Drobna kobieta o stopach małego dziecka i charakterystycznym głosie, który rozpoznaje się od razu, pięć lat temu zagrała u Piotra Miśkiewicza w warszawskim Teatrze Dramatycznym starą Alicję w „Alicji z Krainy Czarów" Lewisa Carrolla. Jej Alicja jest cała w świecie fantazji, bo tylko tam jest prawda. Na pytanie, czy czasem nie jest to szaleństwo, Barbara Krafftówna uśmiecha się i odpowiada pytaniem: – A to jakaś różnica? Już powiedziałam, że bez fantazji pełzalibyśmy, nie widząc nieba. Może dla niektórych odrywanie się od podłogi to jest szaleństwo, ale dla mnie nie.

I tłumaczy, że bardzo ceni sobie w Miśkiewiczu to, że po każdej przerwie wraca do omawiania spektaklu, choćby był już długo grany i może dla niektórych ograny. Aktorzy tego nie lubią, jak już wypracowali sobie swoją dróżkę, to wolą się jej trzymać, a nie wskakiwać na nową.

– A to są cenne uwagi, bo każde oko czy ucho inaczej widzi, inaczej słyszy i ja nawet nie wiem, że mi się coś zasklepiło.

– To ostatnia rzecz, jaką bym o pani powiedziała – że się pani coś zasklepiło.

– Naprawdę? To muszę to sobie zapamiętać.

Barbara Krafftówna uśmiecha się. Wyciąga z maleńkiej torebeczki puderniczkę i szminkę. Przeprasza, ale musi poprawić makijaż przed wyjściem. I poprawiając go szeptem, tłumaczy, jak ważna w zawodzie aktora jest umiejętność obserwacji. Właśnie przed chwilą przy stoliku obok usiadła grupa młodych kobiet. Kolorowo ubrane, wesołe, rozmawiają, czekając na obiad.

– Zarejestrowałam kątem oka mimowolnie zmianę koloru. To szalenie ważne umieć obserwować i chłonąć tę obserwację. Ja to wyniosłam z domu, dzięki mamie i tacie. I cały czas tę umiejętność rozwijam. Bo z czego czerpie aktor? Z obserwacji innych ludzi.

Katarzyna Kaczorowska